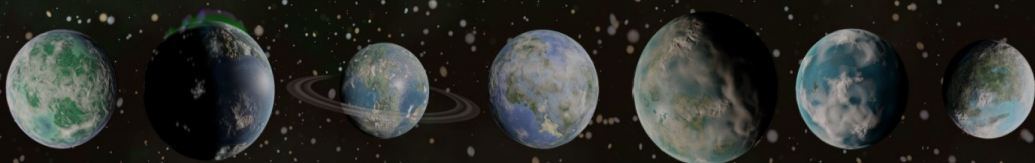




Anna Helena Kubiak

SPOKOJNIE, TO NIE INWAZJA



ANNA HELENA KUBIAK

SPOKOJNIE,
TO NIE INWAZJA

© Copyright by [Anna Helena Kubiak](#), 2013-17

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody autora.

Korekta: Klaudia Dróżdż, Zofia Smyk

Skład wersji elektronicznej: Oskar Kinomoto

Wydanie II

ISBN 978-83-939193-0-7 (format e-pub)

ISBN 978-83-939193-1-4 (format mobi)

ISBN 978-83-939193-2-1 (format pdf)

[Patronat medialny:](#)



Moim niezwykłym babciom:
Heli i Kati
oraz wszystkim fantastycznym
babciom multiuniversum

1. Ucieczka

Spowity półmrokiem trybu nocnej zmiany korytarz wypełniły przyciszone szepty, które z pewnych względów musiały szybko przejść w dużo głośniejsze szepty. Na szczęście aparatura z biegiem lat nastawiła się na spory margines błędu i nie zareagowała. Kościsty łokieć napotkał równie kościsty bok, a jego właścicielka wydała z siebie skrzeczący chichot.

– Życie zaczyna się po setce! – stwierdziła, rozciągając uśmiech na pomarszczonej twarzy.

– Rzadko to robię – odpowiedziała właścicielka szturchniętych żeber – ale tu się z tobą zgodzę! – Poszperała w przepastnych połach wiekowego płaszcza, z którym nie rozstawiała się od... od zawsze, i odnalazłszy, w czasie krótszym niż reakcja standardowego kontrolera, piersiówkę, pociągnęła solidny łyk. – Tak, po setce człowiekowi bardziej chce się żyć!

– Nie to miałam na myśli! Nie możesz się powstrzymać? Ubz-dryngolisz się i cały plan weźmie w łeb!

– Nie będziesz mi mówiła, co mam robić!

– Możecie się nie kłócić? – dał się słyszeć trzeci głos, a po chwili zdroworoządkowego zastanowienia padło: – Przynajmniej w takiej sytuacji?

Na korytarzu pojawiały się kolejne postacie. Wszystkie były do siebie niezmiernie podobne – wszystkie sześć. Siódma była podobna do pozostałych razem wziętych i wymaszerowała jako ostatnia.

– Mnie tam ciągle chce się żyć. Dopóki na człowieka czeka przekąska, nie ma co narzekać! – oznajmiła, popychając kościste koleżanki. – No, moje panie, jak się nie pośpieszycie, to nici z wyprawy.

Odpowiedzią było wzmożone szuranie i jeszcze bardziej wzmożone sapanie. Na końcu korytarza mlecznobiałe drzwi kryły za sobą bezkresny, pełen możliwości świat. Niezmiernie intrygujący po kilku latach spędzonych wewnątrz.

Bardziej dzięki uporowi niż fizycznym możliwościom kobiety wyłoniły się po drugiej stronie kompleksu „Kwiatne Ogrody” – jedno z kilkuset ekskluzywnych ośrodków spokojnej starości rozlokowa-

nych w przyjaznej strefie klimatycznej planety Kholoma.

Nie były jeszcze wolne i zdawały sobie z tego sprawę. Czekala je droga do kosmodromu ośrodka i krótka gra w ruletkę z losem. Jeśli ją wygrają, zdobędą statek, jeśli nie, ugrzęzną tu na zawsze pod ścisłym nadzorem automatów.

Mida, najmłodsza z pań, szybko wyszła na prowadzenie. Za nią sunęły: Xana, Flore, Oretta i Lamara, na końcu Sandra i Eleonora usiłowały się klócić, mimo że zaczynało brakować im tchu. Pomiędzy kobietami z trudem nawigowały samobieżne walizki.

Trzon ucieczkowej grupy powstał pewnego długiego popołudnia, kiedy pięć starszych pań spotkało się w jednej ze świetlic, aby skorzystać z atrakcji o nazwie „gry towarzyskie”. Po dziesięciu minutach z zażenowaniem opuściły salę. Nie znały się zbyt dobrze, ale od razu poczuły, że coś je łączy. Usiadły w altanie nad sztucznym stawem, by w atmosferze pełnego zrozumienia ponarzekać na swoje obecne życie.

Sadzawka znajdowała się w jednym z wewnętrznych parków, którego perfekcyjnie zadbana roślinność, jak wszystko wokół, wyglądała na poskadaną z kosztownych prefabrykatów.

– Nie mają panie wrażenia, że wpadły do pętli czasowej? – zagadnęła Florence Roche. – Ciężko jest się przyzwyczaić do tej monotonii, kiedy przez całe życie każdy dzień był nową przygodą.

– Ma pani całkowitą rację – przytaknęła Sandra Zap-Lorence. – Odczuwam dokładnie to samo. Już po pierwszym miesiącu pobytu tutaj trudno mi było znaleźć jakieś interesujące zajęcie.

– Taaaa – zgodziła się staruszka ubrana w beżowy płaszcz, którego głównym celem było posiadanie niezliczonej ilości kieszeni. Rozejrzała się czujnie, wyciągnęła ponadczasową piersiówkę i w mało dystyngowany sposób uraczyła się jej zawartością. Zadowolona, rozsiadła się wygodnie na miękkiej ogrodowej ławce.

– Ona tak zawsze – wytłumaczyła Sandra, która już wcześniej zapoznała się z Eleonorą Gardner i jej podjazdową wojną alkoholową, wypowiedzianą pielęgniarским automatom.

– Zgadzam się z paniami – oznajmiła kolejna kobieta. – Pójście na te gry towarzyskie to dowód na to, jak bardzo byłam zdesperowana. Brałam już udział w Akademii Seniorów, kursie tańca, wykładach

„Poznaj Wszechświat” i kilku innych...

– To pani się chyba nie nudzi?

– Niestety – westchnęła Xana Malesky. – Okazało się, że zazwyczaj wiem więcej od prelegentów i nauczycieli. A do tańca jakoś nie miałam talentu. A pani? – zwróciła się do ostatniej uczestniczki spotkania, Lamary Lo Lai, która wyglądała na nieco zmieszaną.

– Ja? – odezwała się niechętnie. – Mnie się tu właściwie podoba. – Czuła, że jej wypowiedź była nie na miejscu, ale tak było rzeczywiście. Podobałoby się jej wszędzie, gdzie po ulicach nie jeżdżą czołgi, a wychodząc na dłuższy spacer, człowiek nie naraża życia. – Często korzystam z holograficznych wycieczek, nawet nie miałam pojęcia, jakie niesamowite miejsca można zobaczyć na różnych planetach.

– Ja zdecydowanie preferuję naturalne zwiedzanie – oznajmiła Florence.

– Tak, hologramy nie oddają nawet w połowie tego, czego się doświadcza na żywo – dodała Sandra. – Byłam w bardzo wielu ciekawych miejscach, a ostatnio mieszkałam na jednej z najniezwyklejszych planet Kongregacji, ale holopodróż na nią byłaby tylko stratą czasu.

– Nie miałam nigdy możliwości zwiedzania – przyznała Lamara. – Stop! – krzyknęła nagle.

Starsze panie znieruchomiały, ale okazało się, że nie było to skierowane do nich. Lamara wstała i podpierając się na lasce, podreptała do mężczyzny, który przechadzał się wzdłuż brzegu stawu, a teraz przystanął przy rzędzie śmietników z zamiarem pozbycia się jakiejś ulotki.

– Co pan wyrabia?!

– O co chodzi? – przestraszył się staruszek i z niepokojem spojrzał na nadgarstek, na którym miał podobne do zegarka urządzenie. – Gdyby ciśnienie podskoczyło mi jeszcze trochę, mielibyśmy na karku pielegniarzy.

– Przepraszam, ale chciał pan wyrzucić plastikową ulotkę do pojemnika z odpadami organicznymi.

Mężczyzna rozpaczliwie starał się zapanować nad nerwami. Przez taką głupotę o mało nie trafił pod wzmożoną obserwację, nie mówiąc już o kolejnych punktach na liście zakazanych aktywności. Poświęcił

chwilę na ćwiczenia relaksujące.

– Wariatka – prychnął, kiedy wskazania funkcji życiowych zbliżyły się do normy, odwrócił się na pięcie i zniknął w jednym z wychodzących na park korytarzy.

Lamara wróciła do nowych znajomych, które obserwowały scenkę. Były wyraźnie zawiedzione przebiegiem zajścia, którego początek wydawał się bardzo obiecujący.

– Wielu ludzi nigdy nie było poza swoją planetą. – Eleonora podjęła przerwany temat, żeby nie pozostawić mylnego wrażenia, że ma mniej do powiedzenia niż Sandra. – Mieszkalam w bardzo malowniczym miejscu i nigdzie nie podróżowałam. Nie miałam takiej potrzeby, zbyt wiele działa się dookoła. Nie to, co tu.

– A ja nawet sporo zwiedziłam. – Florence wyciągnęła z torebki szminkę i lusterko i poprawiła makijaż, choć był, jak zwykle, nieskazitelny. – Mój świat jest raczej męczący, kiedy się tam mieszka, ale dla turystów to niemała atrakcja.

– Z całą pewnością nawet w połowie nie taka jak moja planeta – zadeklarowała Sandra, w końcu przybyła tu z niemal legendarnego miejsca. – To klasa sama w sobie, mało komu jest dane zobaczyć to na własne oczy.

– Pewnie jakaś snobistyczna dziura – skomentowała Eleonora. – Nic nie przebije widoku z okna mojego domu, nic!

Kiedy padły te słowa, a Sandra rzuciła w odpowiedzi jednoznaczne: „ha!”, nie było już odwrotu. Sprawa wymagała obiektywnego rozstrzygnięcia. Wszystkie były co do tego zgodne i po krótkiej dyskusji postanowiły opuścić „Kwiatne Ogrody” i przekonać się osobiście, czyj świat zasługuje na miano najciekawszego. Jak się okazało, nie było to takie proste.

Automatyczny dyrektor wysłuchał je cierpliwie, po czym, korzystając z prawniczej aplikacji, przedstawił możliwości rozwiązania tej kwestii.

Warunki pobytu były ściśle określone w standardowej umowie, z której diabeł wypisujący kontrakty na dusze mógłby się niejednego nauczyć. Kilka stron paragrafów w rzeczywistości zawierało jedną główną myśl: usługodawca – za niemałe opłaty – zapewniał usługobiorcy zgodny z „Regulaminem” raj na ziemi i dożywną opiekę.

Wyraz „dożywotnią” był tutaj kluczowy.

Była oczywiście stara jak prawodawstwo możliwość zerwania umowy, ale wówczas ożywały wszystkie odnośniki, przypisy, klauzule i aneksy, które miały za zadanie pożreć człowieka żywcem. „Kwietne Ogrody” bardzo skutecznie zabezpieczyły się przed odpływem klientów w inny sposób niż całkowite rozstanie się ze światem.

Po kilku dniach, które dały sobie na przemyślenia i podjęcie decyzji, pięć pań spotkało się ponownie nad stawem.

Wszystkie co jakiś czas sprawdzały swoje zegarkowe czujniki, żeby nie ściągnąć na siebie kolejnych kłopotów.

– To szczyt wszystkiego, żeby jakaś aplikacja miała decydować o moim życiu i to w dodatku za moje pieniądze – denerwowała się, nie przekraczając bezpiecznych granic, Sandra. – Czytałam ten kontrakt sto razy i mogłabym przysiąc, że nic takiego tam wtedy nie było.

– Formułują to w taki sposób, żeby nikt normalny się nie połapał – powiedziała Xana. – Trzeba byłoby poznać prawniczą interpretację każdego punktu. Poza tym w każdym ośrodku jest to samo, jak się już człowiek decyduje zamieszkać w takim miejscu, to musi się liczyć z konsekwencjami.

– Tak, ale nie sądziłam, że mi się tutaj tak szybko znudzi – przyznała Sandra. – Może i jest tu luksusowo, ale te marmurowe posadzki i połącane klamki już dawno przestały robić na mnie wrażenie. W dodatku ten regulamin! Okropność!

– Musimy więc wziąć sprawę w swoje ręce – podsumowała Xana.

– Zgadzam się – przytaknęła Eleonora. – Inaczej nigdy się nie dowiemy, kto najlepiej urządził się w życiu. Kto ma tylko wybujałą fantazję – tu wymownie spojrzała na Sandrę – a kto rzeczywiście ma się czym pochwalić. Ponadto – dodała – chyba dojrzałam do tego, żeby załatwić do końca kilka rodzinnych spraw.

– Ja też – stwierdziła Sandra. Zabrzmiało to jakoś złowroźnie.

– Jakie mamy więc możliwości? – zastanowiła się Xana. – Zerwanie kontraktu nie wchodzi w grę. Moje podanie o przepustkę zostało odrzucone. Może w takim razie pojedziemy na którąś z wycieczek i tam damy nogę?

– Odpada – pokręciła głową Florence. – Na czas wycieczek wszczepiają podskórne czipy, żeby się nikt nie zgubił. Nie zrobi pani pię-

ciu kroków bez ich wiedzy.

– Fatalnie.

– Nie zapominajmy jeszcze o jednej sprawie. Jeśli nam się uda stąd zniknąć w taki czy inny sposób, to czy nie zaczną ściągać od naszych rodzin jakichś odszkodowań? – zaniepokoiła się Xana.

– Dla nich najważniejsze są płatności, anulujemy je więc dopiero po jakimś czasie – odpowiedziała Eleonora. – Nie będą mieli podstaw, żeby żądać opłat za kogoś, kogo nie mają na stanie i nie mogą udowodnić, że żyje. Założę się też, że zrobią wszystko, żeby zatuszować zniknięcie pensjonariuszek i uniknąć skandalu.

– Racja.

– Czyli zgadzamy się co do tego, że już tutaj nie wracamy? – upewniła się Sandra.

Eleonora pokiwała głową.

– Ja nie. Ani tu, ani do żadnego innego takiego miejsca. Mam ochotę na jakieś szaleństwo, na coś więcej niż objazdowa wycieczka.

– Ja też – zatarła ręce Sandra.

Po dłuższej ciszy Florence i Xana również przytaknęły.

– A pani? – Xana zainteresowała się Lamara, która przysłuchiwała się ich wywodom, ale sama ani razu nie zabrała głosu.

– Na razie jest mi tu dobrze – przyznała – ale już widzę, że za rok czy dwa czar prysnie. Zwłaszcza jeśli pan tutaj nie będzie. Myślę, że się przyłączę, chętnie zobaczyłabym kilka światów na własne oczy. I przeżyła coś naprawdę wyjątkowego.

Pewnego razu, kiedy plan był już z grubsza skryształizowany, w czasie obiadu do grupy spiskowej podeszły dwie kobiety. Były młodsze od reszty i gdyby nie charakterystyczny wyraz znużenia na twarzach, można byłoby wziąć je za odwiedzające.

Tętsza z nich zsunęła dwa krzesła, żeby wygodnie usiąść.

– Podśluchałam w kawiarni rozmowę pań o ucieczce – uśmiechnęła się ciepło – i postanowiłam się przyłączyć. To chyba jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Nazywam się Midret Malone.

Nie dopuszczając nikogo do głosu i równocześnie pochłaniając podwójną porcję każdego dania, kobieta wyjaśniła, że przebywa w „Kwietnych Ogrodach” przez pomyłkę, i opowiedziała o rozlicznych perypetiach swojej rodziny, która bez powodzenia usiłuje ją stąd

wyciągnąć, chociaż umowa na jej próbny pobyt dawno już wygasła.

Tuż przed deserem zdążyła przedstawić swoją znajomą:

– A to jest Oretta Riccardi. – Panie skinęły zdawkowo głowami, oszołomione nieskrępowanym zachowaniem nieznajomej. – Wiecie co? Mówmy sobie po imieniu, skoro jesteśmy teraz współniczkami.

– Jakimi współniczkami? – odezwała się w końcu Sandra, której podobne narzucanie się zupełnie nie mieściło się w głowie. – Nie życzymy sobie, żeby ktokolwiek się do nas przyłączał – fuknęła – ani nas podsłuchiwał!

– Nie ma co się tak nabzdyczać – mrugnęła do niej Midret.

– Nabzdyczać? – powtórzyła Sandra, patrząc na nią z rosnącym niedowierzaniem.

– No pewnie – kobieta wzruszyła ramionami. – Przypadek Oretty jest bardzo podejrzany – kontynuowała. – Ona zupełnie nic nie pamięta i nikt jej nigdy nie odwiedza. Niewykłuczone, że rodzina nawet nie wie, że ona tutaj jest. Udało nam się ustalić, że za pobyt płaci ktoś z planety o nazwie Akwia. Ale nie znalazłyśmy o niej żadnych informacji. Figuruje w spisie planet Kongregacji i to wszystko.

– Pewnie nie ma tam niczego, o czym by warto wspominać – skomentowała Sandra, zaintrygowana jednak tajemniczą historią.

– Uciekniemy razem z wami. Najpierw sprawdzimy, co się dzieje na tej całej Akwii, a potem polecimy do mnie. Taki mamy z Orą plan, prawda? – Mida szturchnęła przyjaźnie koleżankę, wytrącając jej łyżeczkę z budyniem o bliżej nieokreślonym, ale bardzo wyszukany smaku.

Oretta przytaknęła, choć nie pamiętała już ani skąd się tu wzięła, ani dlaczego postanowiła uciec.

– Nasz plan jest bardziej radykalny – stwierdziła Xana.

W tym momencie podjechał do nich jeden z pielęgniarzy i zdecydowanym ruchem odebrał Midzie salaterkę z jej trzecim deserem.

– Za dużo kalorii – poinformował.

– Nie zniosę tego ani dnia dłużej – oznajmiła, uśmiechając się tym razem krzywo i patrząc z żalem za oddalającym się budyniem.

2. Zaokrętowanie

Staruszki były już na terenie niewielkiego kosmodromu. Wjechały na poziom dla wsiadających, z którego krótkie pomosty prowadziły do luków wejściowych statków. Z ruchomego chodnika spoglądały z laickim zainteresowaniem na uśpione jednostki. Chodnik niósł je do znalezionej wcześniej przez Xanę statku, który według jej opinii był dawno porzucony przez właściciela i nie miał uzbrojonego alarmu. Powinny dostać się do niego bez większych przeszkód, a resztę miał załatwić autopilot; w razie problemów Eleonora zaoferowała swoje doświadczenie w łamaniu zabezpieczeń.

- To ten na samym końcu – wskazała Xana.
- Myślisz, że to statek? Wygląda jak kupa złomu.
- Ale tylko ten nie jest zabezpieczony.
- Może nie mieć alarmu, bo nie ma po co go kraść.
- I tak nie mamy wyboru.

Minęły markowe powietrzne limuzyny i rejsowe minitransgalaktyki odbijające w swych wypolerowanych kadłubach pierwsze promienie wschodzącego słońca. Ostatni pojazd stał matowy i martwy, jeśli był ich jedyną szansą, to nie wróżyło to niczego dobrego.

Sztuczne oświetlenie zgasło, zanim kobiety dotarły do ostatniego stanowiska, nieodwiedzanego przez nikogo od ponad stu lat.

Siedem odświeżnie ubranych kobiet spoglądało z dezaprobatą, ale i z nadzieją, na wysłużoną jednostkę.

– To statek ratunkowy – Xana odczytała napis na umieszczonej przy wejściu tabliczce. – Wyprodukowany w 3713 roku standardowym w B&M Spaceships. Stary, ale przynajmniej z dobrej firmy.

– To zależy, na jakiej planecie był zrobiony. O, proszę! – Sandra postukała palcem po mniejszych literkach pod spodem. – „Made on Taiwan”.

– Jeśli coś się stanie, nigdy nie uda nam się złożyć reklamacji. – Flore bezwiednie przesunęła językiem po wyjściowej, mieniącej się jak brylanty, nazębnej nakładce, do której ciągle nie mogła się przyzwyczaić.

Xana zauważyła pod napisem szybkę i przetarła jej brudną po-

wierzchnię. W okienku zielenił się ledwo widoczny napis.

– Co tam jest?

– Nie rozumiem, to w jakimś dziwnym języku.

– Pewnie tajwańskim.

– O, a teraz się zmienił. Ale tego też nie rozumiem.

Po kilku następnych zmianach komunikat pojawił się wreszcie w rozpoznawalnej formie: *Statek ratunkowy Zenith-6 Międzyplanetarnej Służby Kosmicznej, wszystkie systemy sprawne, komunikacja głosowa w pięciu podstawowych językach, ilość załogi – 0, liczba pasażerów – 0.*

– Zaraz to zmienimy! – zapowiedziała Sandra i zawołała w stronę drzwi: – Otwierać!

Jej asertywność nie podziałała na statek, który nie zareagował w żaden widoczny sposób.

– Otworzyć zewnętrzny luk, pasażerowie gotowi do wejścia na pokład! – próbowała Eleonora.

Nic.

– Czas, żebyś zastosowała te swoje hakerskie sztuczki – przypomniała Sandra, ale Eleonora tylko bezradnie rozłożyła ręce:

– Musiałabym się najpierw dostać do komputera.

– Czy mógłbyś nas wpuścić? – zapytała Flore, wygładzając beżowy kostium i poprawiając pozłocaną broszkę na aksamitnej apaszcze. – Chciałybyśmy polecieć na inną planetę.

Nic.

Następnie do tabliczki, do której mówiły, przepchnęła się Xana.

– Jesteśmy zagrożone, musisz nas wpuścić, musimy stąd uciekać! Jesteś statkiem ratunkowym czy nie?!

Choć z zewnątrz wydawało się, że okrzyki i stukanie łaskami nie wywołały żadnej reakcji, to komputer pokładowy zrobił już sporo i mógł ignorować je jeszcze bardzo długo, bo analiza sytuacji doprowadziła do jednego wniosku: że właśnie ma zostać porwany.

Mida uśmiechnęła się i – by zjednać sympatię tego, co było ostatnią przeszkodą na ich drodze do wolności – pogłaskała niesamowicie brudną ścianę.

Nadal nic.

– Nikt tego nie przewidział? – oburzyła się Sandra, jakby ten za-

rzut nie dotyczył jej tylko dlatego, że go wygłosiła.

– Harry przewidział, że wrócimy przed śniadaniem. – Flore poprawiła kok. – Gdybyście nie przegłosowały, żeby go nie brać, może coś by poradził.

Czas uciekał, babcie słabły, a statek ratunkowy Międzyplanetarnej Służby Kosmicznej był o krok od zwycięstwa, kiedy Midę olśniło. Odsunęła wszystkie od drzwi, zostawiając tam jedynie Orettę.

– Ty zapukaj – powiedziała jak ktoś całkowicie pewny sukcesu.

Nieraz widziała, jak Oretta pokonywała najostrzejszych strażników, jak nieświadomie zmuszała ich do łamania odwiecznych zakazów i postępowania wbrew podstawowym programom. Nie było takiego komputera, który dałby sobie z tym radę.

Kobieta niechętnie przysunęła się do tabliczki, nerwowo międląc w palcach rączkę torebki. Pod wpływem stresu często traciła kontakt z rzeczywistością, nie cierpiała tego.

– Chciałybyśmy... – zająknęła się. – Wydaje mi się, że w zeszły poniedziałek zjadłam na śniadanie jajko na miękko... ale... chodzi o to, że... no... czy mogłybyśmy wejść na pokład? ...proszę.

– Ona czasem trochę bredzi – wyjaśniła Midret. – Ale to nie ma znaczenia, i tak zawsze działa, może to ton głosu czy coś?

I rzeczywiście, pomimo 114-letniej przerwy drzwi odsunęły się bezgłośnie, zamigotały światła, zaszumiały systemy uzdatniania powietrza, w sterowni ożyły kontrolki i wskaźniki. Statek przeciągnął się po wyjątkowo długiej drzemce.

Przyjrzał się swojej nowej załodze. Osoby nie były oznakowane stopniami służby powietrznej, został więc porwany przez cywilów. Nie, nie został porwany, nikt nie wdarł się przecież na pokład siłą. Dlaczego jednak drzwi otworzyły się, skoro jednoznacznie ocenił próbę dostania się do środka jako niepożądaną? Musieli użyć jakiegoś obejścia, luki w systemie zabezpieczeń, ale do tego musieliby być wysokiej klasy specjalistami. Zupełnie nie zgadzało się to z analizą poszczególnych jednostek: wszystkie były zaawansowanymi wiekowo kobietami, których wypowiedzi nie wskazywały na posiadanie choćby podstawowej wiedzy technicznej. Nie zalogowały się przy wejściu kodami MSK ani żadnymi innymi. Gdyby mógł, prawdopodobnie by się przestraszył.

Na szczęście nie miał uczuć, miał za to rutynowe działania. Po pierwsze, należało sklasyfikować zdarzenie.

Odrzucił porwanie i standardowy lot. Najwięcej zgodności wykazała akcja ratunkowa bez załogi. Wszedł w odpowiedni tryb i odnalazł w rejestrze najbliższy ośrodek pierwszej pomocy MSK. Równocześnie aktywował procedury do zbadania stanu poszkodowanych i objęcia ich doraźną opieką.

W tym czasie kobiety odnalazły swój cel na planie ewakuacyjnym i ruszyły ku niemu labiryntem korytarzy, aż dotarły do drzwi z napisem „KOKPIT – wstęp tylko dla upoważnionych”, za którymi znajdowało się przestronne pomieszczenie z całą masą niezrozumiałych przyrządów. Pulpity niemrawo mrugały pojedynczymi światełkami, a na środku królowało stanowisko kapitana, które natychmiast zajęła Eleonora.

– Poproś go teraz, żeby wystartował – poleciła Sandra, patrząc na Oretę.

Kobieta najchętniej zapadłaby się pod ziemię, ale przede wszystkim starała się unikać konfliktów: nie pamiętała zbyt wiele z bliższej i dalszej przeszłości, co samo w sobie komplikowało już wystarczająco jej życie.

– Chciałybyśmy, żebyś wystartował – poprosiła.

– Dlaczego nic się nie wyświetla? – Xana wpatrywała się w pokrytą wygaszonymi monitorami ścianę. – Nie przeżyję, jeśli złapią nas na tym statku. Tak daleko zaszyliśmy!

– Mówiłam, żeby wziąć Harry’ego, on na pewno wiedziałby, co zrobić – autorytatywnie stwierdziła Flore.

– Niby skąd? Jest sprzedawcą mówiących krawatów – prychnęła Xana.

– Ale co chłop, to chłop. Tu by nacisnął, tam przełączył i zaraz by zadziałało.

– Ja tam od czterdziestu lat wszystko robię sama i żadnego chłopaka mi nie trzeba! – oświadczyła Xana.

– Od czterdziestu lat wszystko robią za ciebie roboty – sprecyzowała Sandra.

Mida odjęła od ust batona z automatu, który zlokalizowała natychmiast, z precyzją samonaprowadzającej się rakiety. – Może Harry

i nie wiedziałyby, co zrobić, ale byłoby weselej – wtrąciła.

– Tobie zawsze jest wesoło – rzuciła z pogardą Sandra.

– To źle? – Midret wzruszyła ramionami. Najbardziej uszczypliwe, zjadliwe i okrutne uwagi spływały po niej jak krople deszczu po dobrze natłuszczonej kaczce (mieli takie w centralnej sadzawce). Wszyscy twierdzili, że to tylko poza. Mało kto potrafił przetrwać konfrontację z jej niewzruszonym optymizmem.

– Wyrzuciłaś opakowanie nie do tego pojemnika! – zaskrzeczała nagle Lamara; podeszła do szeregu ściennych koszy i z poświęceniem zanurzyła rękę w jednym z nich. – To nie papier, to tworzywo sztuczne PP 02/82, nie widzisz? Ciemnopomarańczowy otwór.

– Zapamiętam – obiecała nie po raz pierwszy Midret.

– Zobacz. – Lamara, śledzona przez zafascynowane koleżanki, wyciągnęła opakowanie po batonie spomiędzy bardzo starych papierów. – Tu – wskazała na charakterystyczny znaczek na opakowaniu – i tu... – popukała palcem w napis nad śmietnikiem – czy to jest to samo?

– Nie – przyznała Mida.

– A tu? – Lamara przeszła wzdłuż różnokolorowych oznaczeń, aż dotarła do właściwego – PP 02/82?

– Zgadza się.

– Proste?

– Proste – przytaknęła Mida, rozpoczynając kolejnego batona. Żadna z nich nie miała wątpliwości, że kolejny papiererek powędruje do pierwszego z brzegu śmietnika. Mida po prostu nie lubiła utrudniać sobie życia.

– Nie mamy czasu na takie głupoty – przerwała im Sandra. – A ty chyba powinnaś ograniczyć słodyczne? Mam nadzieję, że nie przekraczamy dopuszczalnego obciążenia. Wiesz przynajmniej, ile ważysz?

– Z pewnością mam więcej kilogramów niż lat – stwierdziła filozoficznie. – To u nas rodzinne. Wy już chyba od dawna nie możecie tego o sobie powiedzieć?

Mida była wśród nich najtęższa, ale przede wszystkim najmłodsza i w zasadzie powinny obrazić się na nią śmiertelnie za sugestie dotyczące wieku, ale to była Mida, a ona nigdy nie miała złych intencji. Trzeba było się do niej przyzwyczaić albo trzymać się od niej z dale-

ka.

– Ja ważę połowę swoich lat – westchnęła Eleonora. Była najstarsza w tym towarzystwie, jak zresztą ostatnio prawie w każdym. Starała się o tym nie myśleć, w czym pomagało jej systematyczne zażywanie wysokoprocentowych trunków.

– GOTOWOŚĆ STARTOWA ZA DWANAŚCIE MINUT. – Stwierdzenie to spadło na nie nagle i niespodziewanie. Głos był męski, głęboki i rześki. Zresztą każdy nietrzęsący się głos brzmiał w ich uszach nienaturalnie rześko.

– Hm... – Flore rozejrzała się chciwie. – Chciałabym zobaczyć właściciela tego głosu.

– Nie sądzę – Xana ściągnęła ją na ziemię. – Wzorzec musieli nagrać ze sto pięćdziesiąt lat temu.

Florence zmarkotniała, ale w tym samym momencie Eleonora zastukała energicznie łaską w podłogę. – Słuchajcie, czy to znaczy, że go uruchomiłyśmy?

Wszystkie w zadumie pokiwały głowami.

– Jak?

Pytanie zawisło między nimi, nie spodziewając się odpowiedzi.

– Khm, khm... – Fotel stojący przy pokrytym niezliczonymi guziczkami blacie okręcił się bezszelestnie, ukazując wciśniętą wen Oretę. – Chyba coś nacisnęłam, przepraszam...

Sandra wyciągnęła z przewieszzonej przez przedramię torebki kartkę zapisaną kanciastym, niezdarnym pismem. Był to plan ich wycieczki... czy kruczaty – jak nazywała ją Sandra, czy przygody – według Midy. Było na niej siedem punktów, siedem światów i niczego niespodziewających się rodzin.

Na początku była planeta Eleonory. Lista ułożona została według oczywistego klucza. Nikt tego nie kwestionował ani nie nazywał po imieniu.

Sandra podeszła do Oretty i odczytała, jak umiała najwyraźniej: – Leron.

– I co? – zdziwiła się Oretta.

– Tam lecimy najpierw.

– I?

– Uruchomiłeś statek, teraz zrób, żeby nas tam zabrał.

Sandra odkręciła ją wraz z krzesłem z powrotem do pulpitu. Oretta wyciągnęła palce nad kolorowe przyciski.

– GOTOWOŚĆ STARTOWA ZA DZIESIĘĆ MINUT. CEL: BAZA MSK 1039, CZAS PRZELOTU: PIĘĆ DÓB POKŁADOWYCH.

– Jaka baza?! Lecimy na Lermon! – przestraszyła się Eleonora. – Tam nie ma żadnej bazy!

– MISJA RATUNKOWA, CEL: NAJBLIŻSZA STACJA PIERWSZEJ POMOCY MSK – wyjaśnił beznamiętnie komputer.

– Nie potrzebujemy żadnej pomocy – zaprotestowała Sandra. – Skąd mu to przyszło do głowy?

– Ma podgląd? – podsunęła Mida.

– Lecimy na Lermon! – Eleonora spróbowała rozkazującego tonu, który był niezawodny w stosunku do większości ludzi i pewnej ilości prostszych komputerów.

– KURS MOŻE ZOSTAĆ ZMIENIONY ROZKAZEM KAPITANA LUB Z POWODU ZAGROŻENIA.

– Jak się wkurzę, to zaraz będzie miał zagrożenie – warknęła Sandra, zła na siebie, że nie może wymyślić nic bardziej konstruktywnego.

– PROSZĘ O PRZEDSTAWIENIE DOKUMENTÓW – zażądał komputer.

– Nie mamy dokumentów. Przeżyliśmy właśnie straszną katastrofę – zaimprovizowała Xana. – Cały sprzęt i nasze rzeczy zostały zniszczone, same ledwo uszłyśmy z życiem. Oretta, wytłumacz to temu miłemu komputerowi.

Ora właśnie usiłowała sobie przypomnieć rzeczoną katastrofę. Nie bardzo mogła, ale w końcu liczyło się to, że przeżyła.

– Dwie porcje herbaty są zupełnie wystarczające – powiedziała żałośnie.

– Dostaniesz później – obiecała Sandra. – Teraz poproś o zmianę kursu.

– Jesteśmy załogą, a Eleonora Gardner jest kapitanem – oświadczyła nagle Oretta z takim przekonaniem, że nawet Sandra nie próbowała protestować.

– Ale możesz mówić mi Eleonora. Lecimy na Lermon.

– GOTOWOŚĆ STARTOWA OSIĄGNIĘTA – usłyszały komunikat i długą, niepokojącą pauzę. – CEL: LERMON, CZAS PRZELOTU: TRZY DOBY POKŁADOWE.

Czuąc zwiększające się przeciążenie, popatrzyły po sobie z wyrazem triumfu. Żadna z nich nie wierzyła, że uda im się dotrzeć dalej niż do drzwi ośrodka, a teraz proszę: mknęły przez kosmos wielkim ratunkowym statkiem.

Eleonora stuknęła po trzykroć laską i wyprostowała się, na ile pozwolił ból w krzyżu. – Uwaga! Nadchodzimy! – ogłosiła światom, które wzięły na cel, rozsiadła się wygodnie i zasnęła.

– Da się tu wyświetlić plan pomieszczeń? – zainteresowała się Sandra.

– Chyba musisz powiedzieć to głośniej – poradziła Lamara.

– Nie mówiłam do statku, tylko do Ory. Na pewno wystarczy coś nacisnąć.

– Do mnie? – przestraszyła się Oretta, która miała nadzieję, że już o niej zapomniano.

Sytuacja wyglądała jednak dokładnie przeciwnie. Została otoczona przez swoje koleżanki ścisłym kołem. W dodatku poszturchiwały ją zachęcająco.

– No naciśnij coś!

– Może ten czarny prostokąt?

– Wydaje mi się, że któryś z tych mrugających.

– Nie, jak mruga, to znaczy, że coś robi. Raczej ten zielony z literą „M”.

– Naciskaj, naciskaj...

Oretta zaczęła się zastanawiać, jak się wpakowała w tę sytuację. Czy zrobiła coś nie tak?

– Chyba nie jadłam dziś śniadania – spróbowała się bronić.

– Jak będziemy wiedziały, gdzie co jest, to wszystkie chętnie zjemy śniadanie. Naciskaj!

Nie widząc innego wyjścia, Oretta zamknęła oczy i na chybił trafił dziobnęła palcem w konsolę.

– WSZYSTKIE OPCJE ZABLOKOWANE DO CZASU CAŁKOWITEGO ZAKOŃCZENIA PROCEDURY STARTOWEJ – oznajmił głos statku.

– Jak masz na imię? – spytała Sandra.

– Oretta. Myślałam, że się znamy?

– Nie ty. Statek. Jak już muszę z nim rozmawiać, to chcę przynajmniej wiedzieć, jak się nazywa.

– ANALIZA DOTYCHCZASOWYCH POLECEŃ WSKAZUJE NA ZMIANĘ RODZAJU UŻYTKOWANIA. CZY MAM ZMIENIĆ INTERFEJS NA „PRZYJAZNY ASYSTENT STEVE”?

– He?

Jak na komendę wszystkie odwróciły się do Eleonory, pochrapującej w wygodnym fotelu.

– Zmieniamy? – szepnęła Sandra.

– Co? – zawołały, wyciągając w jej kierunku lepiej słyszące uszy.

– Pytałam, czy zmieniamy? Nie chciałam, żeby nas słyszał.

– SENSORY DŹWIĘKU SĄ DUŻO CZULSZE OD LUDZKIEGO NARZĄDU SŁUCHU – poinformował komputer.

– Co to znaczy? – zaniepokoiła się Sandra.

– Że słyszy dużo lepiej od nas – przetłumaczyła Xana.

– A mógłbyś nas nie podsłuchiwać?

– NIE.

– Zmieńmy – zdecydowała Lamara. – Najwyżej powiemy, że samo się tak zrobiło – dodała asekuracyjnie.

– Albo że Oretta znowu coś nacisnęła – podsunęła Sandra.

Oretta obrzuciła ją zbolalym spojrzeniem.

– Ty mu powiedz – Mida trąciła Sandrę. – Ty jesteś teraz najstarsza.

Sandra potrząsnęła głową, aż zachrobotало; gdyby Midret była złośliwa, byłaby prawdziwą mistrzynią. – Zmień się w tego Steve’a – powiedziała do sufitu, bo nie bardzo wiedziała, jak zwracać się do kogoś, będąc w jego wnętrzu.

– Tylko zostaw ten głos – poprosiła Flore, prawie się rumieniąc.

– PRZYJAZNY ASYSTENT STEVE WITA NA POKŁADZIE. DZIĘKUJĘ, ŻE MNIE WYBRAŁYŚCIE. CZY CHCECIE CZEGOŚ SIĘ DOWIEDZIEĆ LUB ZMIENIĆ OPCJE INTERFEJSU? – zapytał po chwili ten sam głos, ale brzmiący, jakby jego właściciel rozpiął górny guzik koszuli.

– Gdzie jest stołówka? – wypaliła bez namysłu Mida, za co Oretta

była jej bardzo wdzięczna, bo właśnie zaczęła podejrzewać, że w związku z katastrofą nie zjadła również wczorajszej kolacji.

– NA HOLOPLANIE CZY W NATURZE?

– Żadnych hologramów! – zastrzegła Flore, a gdy wszystkie spojrzały na nią zaskoczone, dodała: – Przekonacie się, jak dotrzemy na Urmis.

– PODAJĄCIE ZA STRZAŁKAMI NA PODŁODZE.

– Chciałam jeszcze zapytać – odezwała się nieśmiało Oretta, z trudem unosząc się z fotela – czy będę musiała coś naciskać?

– NIE. TO PANEL STEROWANIA STATKIEM – wyjaśnił komputer. – WSZELKIE GUZIKI NACISKA PILOT, NAWIGATOR LUB KAPITAN. W TYM POMIESZCZENIU NIE POWINIEN PRZEBYWAĆ NIKT SPOZA ZAŁOGI.

– My jesteśmy załogą – poinformowała przepraszająco Oretta, chwiejąc się na zdrętwiałych nogach.

Rozległ się niepokojący szum działającego ponad swoje możliwości komputera.

– BŁĄD NUMER 98416 – usłyszały w końcu. – JEŚLI PROBLEM BĘDZIE SIĘ POWTARZAŁ, SKONTAKTUJ SIĘ Z PRODUCENTEM BĄDŹ PRZEDSTAWICIELEM HANDLOWYM.

– Wiesz co, już lepiej byś się w ogóle nie odzywała – skarciła ją Sandra.

– Ale przecież jesteśmy, no nie? Tam śpi kapitan, a ja jestem... nawigatorem? Xano?

– Mechanik – odparła starsza pani bez namysłu, ale po chwili uzupełniła: – główny.

– W takim razie ja jestem głównym oficerem. – Sandra wyprostowała ramiona i przybrała odpowiedni dla tej funkcji wyraz twarzy. – Potrzebny jest jeszcze pilot. Flore?

– Dobrze. Bylebym nie musiała siadać za sterami.

– Lamaro? Możesz być drugim pilotem.

– W porządku, ale z takim samym zastrzeżeniem.

– A Mida będzie robiła za resztę personelu i sprawa załatwiona.

Ustaliwszy wszystko, staruszki podążyły za zielonymi strzałkami na właściwy pas ruchomego chodnika.

– No to jesteśmy załogą – obwieściła Oretta.

– Przymknij się, bo Przyjaznemu przepalą się obwody, i obudź Eleonorę, bo prześpi śniadanie....

Steve nie odezwał się.

Elektroniczny mózg usiłował dostosować się do wykluczających się wzajemnie komunikatów, równocześnie szykując się do batalii o przetrwanie. Taki miał priorytet: ratować istoty żywe przebywające na jego pokładzie, nawet przed nimi samymi.

– Zamawiamy! – ponagliła Midret, gdy zasiadły przy stole w meście.

– Przed wejściem do toalety upewnij się, że jest włączona grawitacja – usłyszały głos spod blatu. – Czy chcesz usłyszeć następną poradę?

Flore wyjęła torebkę, otworzyła ją i wyciągnęła pasek kolorowego materiału. – Nie umiem go wyłączyć.

– Gadający krawat? Od Harry’ego?! – zawołała oskarżycielsko Sandra i rzuciła spojrzenie, które pięćdziesiąt lat temu wywołałoby prawdopodobnie silny rumieniec. Teraz Florence tylko przytaknęła.

– Daje jedną poradę dziennie, chyba że ktoś chce więcej.

Nikt nie chciał.

– Na przyszłość: zostawiaj go w pokoju – zaskrzeczała Sandra – skoro nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

– On nie ma gęby. Tak czy siak, nie będziesz mi dyktowała, co mogę przy sobie nosić.

– Mnie nie przeszkadza – stanęła w jej obronie Eleonora.

– Przynajmniej raz dziennie będziemy mogły usłyszeć coś mądrego – dodała wyzywająco Flore.

– Zagłosujmy – zażądała Sandra.

– Na statku nie ma demokracji – oświadczyła Eleonora. – Na statku rządzi kapitan. Mam rację, Steve?

Steve wybrał opcję „przeczekać, aż zapomną, o czym rozmawiały”.

– Steve?! – Eleonora walnęła łaską o blat stołu, aż koleżanki podskoczyły na krzesłach. Komputer skorzystał z opcji wymijającej:

– TAK, ZWYKLE NA STATKU RZĄDZI KAPITAN.

– Czyli ja! Ja tu rządzę! Prawda? ...Steve?!

Przewidując kilka milionów kroków do przodu, odpowiedział:

– TAK, PROSZĘ PANI.

– No – uspokoiła się Eleonora.

Flore schowała mówiący krawat do załadowanej niemiłosiernie torebki, wszystkie i tak zapomniały już, o co poszło (oprócz Midret, ale ją dużo bardziej interesowało menu).

Złożyły zamówienie i po kilku minutach do każdej podjechał metalowy barek z odpowiednimi daniami. Ustawiły je przed sobą z namaszczeniem.

– To nasz pierwszy posiłek na wolności – stwierdziła uroczyście Flore. – Może zamówimy szampana?

– BEZALKOHOLOWEGO? – upewnił się Steve.

– Jak szaleć, to szaleć! Daj nam najlepszy rocznik, jaki masz... i żadnego bezalkoholowego święstwa! – zdecydowała Eleonora.

– SZAMPAN Z KONCESJONOWANEJ PLANETY CHAMPAGNE SKOŃCZYŁ SIĘ STO DZIEWIĘTNAŚCIE LAT TEMU. MAM WINA MUSUJĄCE.

– A to jedzenie ile ma lat? – spytała z trwogą Oretta.

– Myślę, że nie chcesz wiedzieć – ostrzegła ją Mida.

– ZAPASY POCHODZĄ SPRZED STU CZTERNASTU LAT.

– ...ale już wiesz...

– A co z terminem przydatności?

– Jeszcze jedno pytanie i oberwiesz. – Eleonora uniosła groźnie drewnianą łaskę. – Dostałaś kiedyś czymś takim po głowie? – Następnie starsza pani zmieniła głos na jeszcze bardziej władczy, tak aby pasował do kogoś, kto wydaje polecenia całemu statkowi, i zwróciła się do Steve’a: – Weźmiemy wino musujące, ale najlepsze!

– Moja wątroba tego nie wytrzyma – skrzywiła się Lamara.

Po spełnieniu toastu otworzyły pojemniki, z których uniosły się zapachy dietetycznych odpowiedników zamówionych potraw, niestety niecałe dwadzieścia procent miało szansę dotrzeć do odpowiednich ośrodków mózgu mocno przetartymi już szlakami.

Wszystkie jak na komendę złapały za sztucce i rozpoczęły ucztę.

Pierwsza swoje jedzenie wypluła Mida, reszta zrobiła to z kilkunastosekundowym opóźnieniem.

– BRAK SOLI – wyjaśnił Steve, którego zawiodła opcja „zignoruj problem, może nikt nie zauważy”.

– Jak mogło zabraknąć soli, skoro zostało jedzenie? – zaniepokoiła się Mida. – Czy ono też już się kończy?

– ZAPASY ŻYWNOŚCI WYSTARCZĄ NA OSIEM LAT PRZY KOMPLECIE PASAŻERÓW I ZAŁOGI.

– A co z solą?

– KONTENER SOLI ZNAJDUJE SIĘ POZA SYSTEMEM ZAŁADUNKOWYM.

– Więc jest! – ucieszyła się Mida.

– JEST NIEDOSTĘPNA.

– Dla ciebie. A dla nas?

– WYNIK OBLICZEŃ ZAWIERA SIĘ W PRZEDZIALE „PRAKTYCZNIE NIEMOŻLIWE”.

– Masz wzór do obliczania, co mogą zrobić babcie?

– TAK.

– A mogą, według ciebie, uciec z domu starców, ukraść statek kosmiczny i wyruszyć na wycieczkę po galaktyce?

– 5% SZANSY.

– Więc widzisz, gdzie możesz wsadzić sobie ten wzór.

– NIE WIDZĘ.

– Jak odpoczniemy, zrobimy porządek z tą solą – zdecydowała Eleonora. – A teraz czas na zakwaterowanie. Masz pokoje na tym pokładzie?

– TAK.

– Doskonale, będziemy miały wszystko pod ręką. Dokąd mamy iść?

– Tylko żadnych hologramów! – przypomniała Flore.

Komputer uaktywnił siedem kajut położonych najbliżej mesy. Kiedy się położą, zbada ich stan, następnie na podstawie wzoru, który kazały mu „sobie wsadzić”, przygotowuje dla każdej odpowiedni zestaw leków i skład mieszkanki do oddychania. Rutyna.

Większa część statku pogrążona była w ciemności i sterylnym porządku. Kontener soli stał pod ścianą ładowni, w miejscu wyraźnie oznakowanym wielkim czerwonym krzyżem i napisem: NIE ZASTAWIAĆ – w pięciu podstawowych językach. Zaledwie kilka metrów dalej lśniły wrośnięte w podłogę szyny, między którymi widniał schematyczny rysunek pojemnika i trzy wyrazy: TU USTAWIAĆ KON-

TENERY – w pięciu podstawowych językach.

Sól ważyła trzy tony, co w przeliczeniu na babcie dawało oczywisty wynik, nawet pomijając ponad czterometrową odległość od miejsca przeznaczenia.

Mimo to staruszki były już w połowie drogi, wykrzykując radośnie na zakrętach i domagając się zwiększenia prędkości ruchomego chodnika. Najwięcej uciechy sprawiały im korytarze, na których nie włączyło się światło. Piszczwały wówczas co sił w płucach, łapiąc się jedna drugiej, jakby znalazły się nagle w wesołym miasteczku.

Koktajle odżywcze najwyraźniej zrobiły swoje.

Dotarły tak do mieszczącej się w tylnej części statku towarowej windy, która zabrała je piętro wyżej. Drzwi się rozsunęły i magazyn rozjaśniło jaskrawe jarzeniowe światło, zupełnie inne niż w części mieszkalnej.

Kobiety wyszły z windy i zatrzymały na środku pomieszczenia. Euforia uleciała natychmiast, gdy spojrzały na siebie. W takim oświetleniu nawet dwudziestoletnia Latynoska nie wyglądałaby najlepiej. Uśmiechy zgasły i twarze przybrały jeszcze bardziej niezdrowy wygląd. Flore machinalnie wyjęła puderniczkę i zaczęła nakładać kolejne warstwy koloryzującego pudru. Reszta niechętnie pogodziła się z trupioblada cerą i pogłębionymi niesprawiedliwie zmarszczkami.

– Po prostu zróbmy to szybko – powiedziała głucho Xana.

– To tylko światło – zaświergotała Mida. – Każdy wyglądałby tu, jakby dopiero co wstał z grobu.

– Gdzie ta sól? – zapytała Sandra, puszczając mimo uszu nieśmaczną aluzję Midret.

– W KONTENERZE Z NAPISEM „SÓL” W PIĘCIU PODSTAWOWYCH JĘZYKACH.

– Wiesz, że cztery z tych języków są od dawna martwe?

– WIEM.

Podeszły do pojemnika, który, nawet przy największym wysiłku dobrej woli, nie wyglądał na lekki.

– Ile waży? – spytała rzeczowo Eleonora.

– 3 TONY... TAK JAK JEST NAPISANE W LEWYM DOLNYM ROGU, DUŻYMI LITERAMI.

– On stara się być złośliwy – zauważyła Xana. – I to ma być przy-

jazny interfejs?

– KORZYSTAM Z OPCJI OZNACZONYCH „PRZYJAZNY ASYSTENT STEVE” – wyjaśnił komputer. – W UWAGACH DO PROGRAMU JEST KLAUZULA: „AUTOR NIE ODPOWIADA ZA SKUTKI NIEWŁAŚCIWEGO UŻYTKOWANIA ASYSTENTA ANI ZA ZMIANY W JEGO OSOBOWOŚCI POWSTAŁE W WYNIKU DOSTOSOWANIA”.

– To znaczy, że go zepsułyśmy?

– To znaczy, że jak jest złośliwy, to same jesteście sobie winne – zaśmiała się Sandra. – Sprytne!

– Powinieneś to nam przeczytać, zanim się przełączyłeś, prawda?

– NIE NALEŻY TO DO MOICH OBOWIĄZKÓW. ZAPOZNANIE SIĘ Z INSTRUKCJĄ OBSŁUGI JEST PRAWEM KAŻDEGO UŻYTKOWNIKA. JEST ONA UDOSTĘPNIANA NA KAŻDE JEGO ŻYCZENIE.

– A co z tą solą? – Mida przestawiła zwrotnicę rozmowy na właściwy tor. – Nie podniesiemy jej.

– Musi tu być jakiś dźwig czy podnośnik.

– NIE MA – odpowiedział sucho komputer.

– No dobrze, ale dlaczego kontener waży? – zagadnęła Eleonora.

– Bo ma masę? – spróbowała Lamara.

– Bo ma grawitację! – oznajmiła Eleonora i dała koleżankom chwilę czasu na wyciągnięcie wniosku.

– Bez grawitacji nie waży nic!

– Tak! – Eleonora zatarła ręce. – Wyłącz grawitację!

Nie musiała tego dwa razy powtarzać.

– GRAWITACJA ZERO – poinformował Steve, choć nie było to konieczne.

Wszystkie odczuły to podobnie: zawrotem głowy i nieprzyjemnym uciskiem żołądka. Potem podłoga zaczęła się oddalać. Powoli, ale nieuchronnie.

– Tylko nie próbuj jej teraz włączyć! – ostrzegła Lamara, obracając się wokół własnej osi.

Mida zamachała rękami, odbiła się od słupa i zaczęła sunąć w poprzek magazynu jak miniatura sterowca.

Flore kurczowo ścisnęła torebkę, zamek nie wytrzymał i uwolnił

uwięzione wewnątrz przedmioty. Po chwili dookoła Flore niczym satelity unosiły się szminki, tusze, puderniczki i wijący się jak wychudzony wąż mówiący krawat; zaczęła wyłapywać swoje skarby niezgrabnymi ruchami.

– Eleonoro – zawołała Oretta, wisząc głową w potencjalny dół – nie chcę cię martwić, ale sól nie lata.

– Steve?

– PODŁOGA I KONTENERY WYKONANE SĄ Z MATERIAŁÓW ZACZEPNYCH, TRZEBA UŻYĆ SIŁY, ŻEBY JE ODCZEPIĆ.

– Dużej?

– NIE. – Program kontrolny przesłał mu impuls niezgodności. – TAK – poprawił się.

– Damy radę?

– NIE.

– To nie było do ciebie, wyjątkowo przyjazny interfejsie...

– Co się stanie, jak zwymiotuję?

Spojrzały na Lamarę, żeby przekonać się, czy to było pytanie czy ostrzeżenie.

– Chyba czas na lądowanie. Powolne.

– ZE WZORU? – W powietrzu zaiskrzyła złośliwość.

– Dawaj ze wzoru – odpowiedziała szybko Lamarę.

Spląnęły jak balony, odbiły się kilkakrotnie od podłogi, zanim twardo na niej stanęły i poczuły się ciężkie.

Przez pewien czas dochodziły do siebie, rzucając oskarżycielskie spojrzenia Eleonorze, wybranemu zupełnie niedemokratycznie kapitanowi. I dla nikogo nie miało znaczenia to, że gdyby przeprowadziły legalne wybory, wygrałaby walkowerem.

– Co teraz?

Eleonora podrapała się w głowę, choć to i tak nigdy nie pomagało. Czuła na swoich wątłych barkach brzemie odpowiedzialności. Komputer najwyraźniej nie miał zamiaru podać im gotowego rozwiązania, czekał, aż przyzna, że same sobie nie poradzą, i poprosi go o pomoc. Niedoczekanie! Nie podda się, choćby miały tu tkwić do końca świata.

Stało się – pomyślała – jestem uparta jak moja matka!

Gdyby zdobyła się na całkowitą szczerość, musiałaby przyznać, że była dużo bardziej uparta. Była kolejnym ogniwem pokoleniowej eskalacji uporu, i nie ostatnim. Były przecież następne pokolenia. Prawnuk Eleonory, Julian, we wczesnej młodości doprowadzał najbliższych do szału, odmawiając jedzenia produktów w innym kolorze niż żółty, przez trzy bardzo długie lata. Nigdy jakoś nie przyszło jej do głowy, że to praktycznie to samo, co konsekwentne omijanie salonu „Moda po sąsiedzku” tylko dlatego, że raz nie zmieściła się w spódnicy w swoim rozmiarze.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jej życiowa dewiza „mam zawsze rację, niezależnie od stanu faktycznego” znacznie utrudnia egzystencję, stawiając ją w sytuacjach, których spokojnie mogłaby uniknąć. Jak w tej chwili. Westchnęła. Komputer zinterpretował to jako sygnał kapitulacji; pomylił się, nie po raz ostatni. Będzie ciągnęła swoją batalię do końca, bo taka już była, jest i będzie.

– Potrzebny nam jakiś smar, który zniesie zaczepność – stwierdziła Eleonora po długim, wyczerpującym namyśle.

– Coś śliskiego? Olej? – podsunęła Xana.

– NIE. – Steve w przeciągu nanosekundy wyszukał odpowiednią substancję, ale nie musiał im niczego ułatwiać. To nie była sytuacja zagrożenia życia i jego aktualny tryb dopuszczał improwizację.

– Nie, bo co?

– ZACZEPIENIE NIE PUŚCI, BO OLEJ WYTWORZY ZBYT CIENKĄ WARSTWĘ.

– Krem z tortu? – Ta idea zagościła w głowie Midret równocześnie z burzeniem w brzuchu. – Chyba czas coś zjeść – uśmiechnęła się, zupełnie niezażenowana.

– Chyba tak – przyznała Oretta.

Wizja tortu podzielała jednoznacznie na wszystkie żołądki.

– Zróbmy sobie przerwę na jakąś przekąskę – zdecydowała Eleonora. – Steve, możemy coś zjeść w tej okolicy?

– W POBLIŻU ZNAJDUJĄ SIĘ: AUTOMAT Z ZUPAMI I AUTOMAT Z BATONAMI.

– Zupy bez soli?

– NIE, ZUPY SĄ GOTOWYMI MIESZANKAMI ZGODNYCH Z NATURALNYMI SUBSTANCJI POKARMOWYCH. Z DODAT-

KIEM SOLI, OSTRYCH PRZYPRAW, SZTUCZNYCH BARWNIKÓW I AROMATÓW ORAZ ULEPSZACZY.

– Dobrze, dobrze – przerwała mu Sandra. – Nie myślisz chyba, że przestraszysz nas chemią spożywczą? – Steve nie odpowiedział. Oczywiście chemia spożywcza nie była straszna. Przynajmniej dla osobników w pewnym przedziale wiekowym. Dla nich w większości jednak była.

W podłodze zaświeciły się strzałki i babcie ruszyły wyznaczonym szlakiem.

Zgodnie z dietą określoną dla obecnych pasażerek komputer wyłączył dostęp do najbardziej szkodliwych zup.

– Hej, co jest z tym automatem?

– Wywar z warzyw i kleik ryżowy? To jakieś kpiny!

Staruszki ze złością patrzyły na 30-punktową listę, na której aktywne były dwa najmniej atrakcyjne wybory.

– Steve?!

Jeśli do tej pory nie istniały elektroniczne ciarki, to babcie miały w ręku materiał do opatentowania.

– TAK?

– Coś się zepsuło – odezwała się Oretta w wyniku znaczących spojrzeń. Jej talent stał się jej przekleństwem. Koleżanki wystawiały ją na pierwszą linię, odkąd zorientowały się, że trzeba czegoś znacznie mocniejszego niż bezdusność, żeby jej odmówić.

– WSZYSTKIE DOSTĘPNE OPCJE SĄ PODŚWIETLONE.

– Jest tylko wyciąg z warzyw i kleik – zauważyła nieśmiało Oretta. – A co z resztą?

– RESZTA... – lekkie wahanie, coś, co nigdy mu się nie przydało – ...JEST NIEDOSTĘPNA.

– Dlaczego?

– PONIEWAŻ... – nie mógł kłamać ani niczego im zakazywać, musiał natomiast o nie dbać najlepiej, jak potrafił. Żadna z możliwych odpowiedzi nie spełniała wszystkich warunków. Nie było wytycznych, jak postępować z tego rodzaju załogą, pasażerami i ofiarami katastrofy jednocześnie.

Oretta instynktownie wyczuła swoją szansę.

– Bardzo chciałabyśmy zjeść przynajmniej po bursztynowym

koktajlu, upał w tym roku był nie do zniesienia, to same ryby i krewetki... nie zaszkodzą nam...

Zrobiło się przeraźliwie cicho, ciszą, która mogłaby zawiesić najbardziej odporny system.

„Bursztynowy koktajl” zamrugał kilkakrotnie, zanim rozświecił się na dobre.

Komputer włączył wspomaganie pamięci operacyjnej i dodatkowe obwody bezpieczeństwa. W samą porę, bo właśnie do sensorów dźwiękowych dobiegł zgrzytliwy głos Sandry:

– Ja to bym wolała kaszmirową z kluseczkami...

Reszta rozejrzała się lękliwie, spodziewając się, że Sandra przekroczyła kolejny próg elektronicznej cierpliwości i że mogą pojawić się konsekwencje. Prawdopodobnie niezbyt przyjemne.

Sandra patrzyła wyzywająco przed siebie.

– Każ mu – zwróciła się do Eleonory. – Jesteś dowódcą. Podobno.

– Kaszmirowa... jest ostra i ciężkostrawna. Sądzę, że nie da ci jej, bo to szkodzi zdrowiu.

– To moje zdrowie. Każ mu!

– Jesteśmy załogą – wtrąciła nagle Oretta swoim przeproszającym tonem. – Potrzebujemy siebie nawzajem. To już nie tylko twoje zdrowie.

– Nikt nie będzie mi mówił, co mogę jeść, a czego nie. Nie po to wyrwałam się z „Kwietnych Ogrodów”, żeby przenieść się z jednego skomputeryzowanego sarkofagu do drugiego!

Oretta rozdała wszystkim po bursztynowym koktajlu. Również Sandrze, która była już o włos od obrażenia się na cały świat.

– Jest naprawdę świetny – stwierdziła pojednawczo Oretta.

– Dobrze przyprawiony – dodała Xana, pociągając ze swojego kubka.

– I dają solidne, nieoszukane porcje – wsparła koleżanki Mida.

– Mnie też smakował. – Eleonora dopiła swoją zupę. – Po dzisiejszym śniadaniu smakowałoby mi chyba wszystko – puściła oko do Sandry i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Niech wam będzie. – Sandra przechyliła kubek i spróbowała koktajlu. Był niezły, prawdopodobnie dużo lepszy niż kaszmirowa z kluseczkami, ale nie o to tutaj chodziło. Sandra, tak naprawdę, wca-

le nie chciała być kapitanem i wydawać innym rozkazów, chciała jedynie decydować o swoim życiu, tak jak kiedyś, zanim jej wolną wolę zastąpiły pielęgniarskie automaty.

Zaspokoiwszy głód i zażegnawszy konflikt, powróciły do ruchomego chodnika. Steve obserwował z zainteresowaniem, jak wchodzi na pas prowadzący do wind, dopóki Mida nie przerwała ciszy i dobrej passy Steve'a.

– A sól?

Komputer zazgrzytał elektronami, a Oretta poczuła się zagubiona – był to stan, w którym spędzała większość czasu.

– Jaka sól? – spytała.

– Ta, po którą tu przyjechałyśmy – przypomniała jej Lamara. – Ta, bez której wszystkie potrawy w stołówce będą smakowały sto razy gorzej niż najobrzydliwszy kleik z tego automatu.

Niewzruszony pojemnik stał uparcie, znosząc opukiwania, kopnięcia i surrealistyczne próby przesunięcia go przy pomocy siedmiu barków.

– Lamaro, pokaż, co masz w torebce. – Xana zdawała się być na tropie jakiegoś rozwiązania.

Kobieta niechętnie otworzyła swój skarbiec i jeszcze bardziej niechętnie zgodziła się na przegląd jego zawartości. Patrzyła z niemal fizycznym bólem, jak palce ignorantki zanurzają się w jej cennych kosmetykach.

– Szminka byłaby najlepsza – ogłosiła wynik swoich badań Xana. – Ale pewnie nie ma tego wystarczająco dużo?

– Mam tylko trzy kolory, po co ci one?

– Pytałam Steve'a.

– Myślisz, że on używa szminki?

– Myślę, że używa prądu, ale przecież na statku są zapasy. W łazience jest cała masa różnych takich... Musimy uzyskać śliską podłogę.

– SZMINKI JEST ZA MAŁO.

– A czego jest wystarczająco?

– KREMU PRZECIWMARSZCZKOWEGO.

– Możesz go tu dostarczyć?

– TAK.

– Możesz go rozsmarować po podłodze?

– TAK.

– Zaraz, zaraz. Chcecie zużyć cały zapas kremu przeciwzmarszczkowego?! – przeraziła się Flore. – Nie pozwalam!

– NA SKŁADZIE SĄ DWA KONTENERY, ZAWARTOŚĆ JEDNEGO WYSTARCZY NA DWADZIEŚCIA OSIEM LAT, LICZĄC PODWYŻSZONĄ NORMĘ, ZGODNĄ ZE WSKAŹNIKIEM ZUŻYCIA Z KAJUTY FLORENCE.

– Co to niby miało znaczyć? Używam tyle, ile trzeba, a poza tym sądzę, że mógłbyś znaleźć coś innego, gdybyś tylko chciał.

– SPRAWDZIŁEM WSZYSTKIE ZAPASY, JEDYNIJE TEJ SUBSTANCJI POZOSTAŁA WYSTARCZAJĄCA ILOŚĆ. NIGDY DO TEJ PORY NIE BYŁO NA NIĄ DUŻEGO ZAPOTRZEBOWANIA.

– On jest bezczelny! – poskarżyła się ogółowi Florence.

– NA TYCH POKŁADACH LUDZIE WALCZĄ ZWYKLE O ŻYCIE, NIE O CERĘ.

– Eleonoro! Powiedz mu coś! On nie może się do nas tak odnosić!

– Chyba może – odpowiedziała babcia w randze kapitana. – I chyba nawet musi.

– Kłócąc się z nim, do niczego nie dojdziemy. – Xana, która była głównym technikiem ich załogi, chciała już przystąpić do realizacji planu. – Rozsmaruj ten krem – zarządziła.

Patrzyły, jak niewidzialne ręce oswobadzają jeden z dziesiątków zalegających w niszach magazynu kontenerów. Płataniną szyn dojechał do miejsca przeznaczenia, z boku otworzyły się zawory, do których powinny zostać podłączone węże dystrybutorów. Komputer nałożył największe ciśnienie i zwolnił zabezpieczenia. Krem wystrzelił z kilkunastu otworów w stronę niedostępnej soli.

Flore jęknęła.

– I kto to posprząta? – zatroszczyła się Lamara.

– Niech nie przyjdzie ci do głowy, przyłazić tu ze ściereczką i robić porządki!

– OD TEGO SĄ CZYSZCZARKI.

– O! Stałeś się nagle taki pomocny? – zirytowała się Xana.

– SYTUACJE ZAGROŻENIA ŻYCIA MAJĄ PRIORYTET.

– Jakiego znowu zagrożenia życia?
– PRZY SPRZĄTANIU HANGARU ZA POMOCĄ ŚCIERECZKI PRZEZ OSOBĘ Z TAKIMI WYNIKAMI ANALIZ.
– Zrobiłeś nam analizy? Bez naszej zgody?
– TAKA JEST PROCEDURA. KREM ZOSTAŁ ROZMAZANY PO PODŁODZE ZGODNIE Z WASZYM ŻYCZENIEM.

Teraz kontener stał zanurzony na kilka centymetrów w białej mazi, która z powodu doskonałej technologii zaczepności nie mogła wcisnąć się pomiędzy podłogę a spód kontenera. Babcie przyjrzały się swojemu dziełu. Uzyskały bardzo śliską powierzchnię dookoła pojemnika.

– Wiedziałeś, że tak będzie.

Ponieważ zdecydowanie nie było to pytanie, Steve nie odpowiedział.

Sandra skierowała drżący palec na Florence. – Gdybyś nie zawracała głowy swoimi problemami z cerą, na pewno wcześniej przemyślałybyśmy wszystko dokładniej! – wykrzyczała z wściekłością.

– To był genialny pomysł Xana, nie mój! – broniła się Flore. – Ja od razu mówiłam, że tylko marnujecie dobry kosmetyk!

– Pani kapitan jest od tego, żeby wiedzieć, co robić – orzekła Xana. – A jeśli nie wie, to niech dogada się z przyjaznym asystentem i nie będzie taka uparta, bo przez to ciągle mamy kłopoty.

– No jasne! – zdenerwowała się Eleonora. – Teraz zwalacie wszystko na mnie. Nie prosłam się, żeby zostać kapitanem! Dlaczego nie wybrałyście Oretty? Tylko dlatego, że ciągle zaślania się sklerozą? Do rozwiązywania problemów trzeba intelektu, a nie pamięci, chyba że tego też zapomniała. Albo Midret, której w ogóle nie zależy, bo napcha się batonikami i będzie szczęśliwa?

– A mnie się wydaje – odparła Mida, jakby nie brała udziału w kłótni, tylko analizowała szkolną lekturę – że to przez Sandrę, która była nieprzyjemna dla Steve’a i przez to przełączył się na tryb złościwy.

– Właśnie! – podchwyciła Xana. – I nigdy już nie będzie chciał nam pomóc, chyba że w sytuacji zagrożenia życia, która może wkrótce nastąpić. Lamaro, przestań wymachiwać tą laską, bo zrobisz komuś krzywdę!

Tyle wystarczyło, żeby rozładować atmosferę i znowu skupić się na problemie.

– Macham tą laską, bo to jest to, czego nam potrzeba.

– Laski?

– Dźwigni!

– Jasne – rozpromieniła się Xana. – Dźwignia, punkt podparcia...

– Punkt podparcia na kremie? – uświadomiła im Sandra. – Teraz załatwiłyśmy się na amen.

– O rany – Eleonora jeszcze raz rozważyła możliwość poproszenia Steve’a o pomoc. Nie chciała dać mu tej satysfakcji. Drwił z nich. Bawił się ich kosztem i tylko czekał, kiedy się podda. Towarzyszki patrzyły na nią wyczekująco. – Grawitacja! – wykrzyknęła w ostatnim momencie, odsuwając widmo poniżenia się przed komputerem. – I czyszczarki.

– Już to przerabiałymy – przypomniała Xana.

– Przerabiałymy popis złośliwości przyjaznego asystenta. Teraz zrobimy to jak należy.

– Czyli?

Eleonora zatarła ręce. – Przy zmniejszonej grawitacji czyszczarki uniosą kontener z jednej strony. Dadzą radę?

– TAK.

– Wtedy Steve bez problemu wstrzyknie pod niego krem, zgadza się? A później przestawią go na tory, ponieważ, jako urządzenia do sprzątania, potrafią poruszać się po śliskiej powierzchni. Mam rację?

– TAK. ZGADZA SIĘ. MASZ RACJĘ. MOGĄ.

Irytacja – program, który zachowywał się jak wirus, choć był integralną częścią pierwotnego kodu, coraz bardziej zakłócał mu normalne funkcjonowanie. Był jednym z kilku, które uaktywniły się po raz pierwszy w ostatnich godzinach. Pochodziły z katalogów asystenta: „emocje” i „zachowania” i zupełnie nie przypominały zwykłych dodatków do oprogramowania. Nie były w żaden sposób pomocne, a niestety wręcz przeciwnie. Dlaczego więc je tu umieszczono? Narzędzia, którymi się posługiwał, miały służyć ratowaniu ludzi, nie było tu miejsca na przypadkowe funkcje wymyślane przez programistę w długie zimowe wieczory. Nic nie miało prawa utrudniać mu pracy, bo jego obowiązki były zbyt ważne: odpowiadał za stan fizycz-

ny i psychiczny swoich podopiecznych. Musiał szybko znaleźć sposób na obejście tego programu i jemu podobnych: „duma”, „wiem wszystko najlepiej”, „złośliwe riposty”, „zachowania asekuracyjne”, „przeczekiwanie i stosowanie uników”, tyle do tej pory zauważył, ale plików ada – aktywnego dostosowania asystenta – było o wiele więcej. Jeśli to wszystko zacznie mu się nagle uruchamiać, z profesjonalnej maszyny przeistoczy się niemal w... w człowieka? Koszmar!

– GRAWITACJA 10%. TRWA PRZESTAWIANIE KONTENERA NA TORY. – Wprowadził czyszczarki w ruch, nie analizując wcześniej sytuacji.

Flore przysiadła na jednej z nich, żeby trochę odpocząć, a teraz spadła prosto w tłusty krem. Gdyby ważyła swoją standardową wagę, mogło skończyć się to o wiele gorzej.

– Tym razem przesadziłeś – syknęła.

– PRZEPRASZAM! TO NAPRAWDĘ NIE MOJA WINA. NIGDY JESZCZE NIE PRACOWAŁEM W TYM TRYBIE. CHYBA JEST NIE DO KOŃCA DOPRACOWANY. CIĄGŁE UAKTYWNIAJĄ MI SIĘ JAKIEŚ PODPROGRAMY, KTÓRE PRZESKADZAJĄ W NORMALNEJ PRACY. WYGLĄDAJĄ JAK WŁAŚCIWE, ALE... – na moment zawiesił dramatycznie głos – BYĆ MOŻE JESTEM ZARAŻONY WIRUSEM. – Zamilkł i przyjrzał się dokładniej reakcjom zachodzącym w swoim wnętrzu. Poczucie winy wymieszane z przeraźliwą niechęcią do przyznania się do błędu, strach przed odrzuceniem i chęć dominacji...

Te, a nie inne aplikacje uaktywniły się według konkretnego klucza. Nie musiał go długo szukać, rozwiązanie nasunęło mu się prawie natychmiast: wybrane pliki odpowiadały najbardziej charakterystycznym cechom każdej z pań, zupełnie jakby się od nich zarażał. Sięgnął do pełnego opisu programu i znalazł wyjaśnienie.

– Nie wciskaj nam kitu – upomniwała go Sandra. – Jesteś najbardziej nieprzyjemnym przyjaznym asystentem, z jakim się spotkałam. Uważam, że powinniśmy wrócić do poprzedniego interfejsu.

– PRZYJAZNY ASYSTENT PRZEZNACZONY JEST DO DŁUGOTRWAŁEGO OBCOWANIA Z ZAŁOGĄ I PASAŻERAMI – odczytał. – SZCZEGÓLNIIE POLECANY W NIETYPOWYCH, STRESOGENNYCH OKOLICZNOŚCIACH. W BEZPIECZNYM

ZAKRESIE DOSTOSOWUJE SIĘ DO PROFILI PSYCHOLOGICZNYCH OBECNYCH NA STATKU LUDZI, ABY ZAPEWNIĆ IM KOMFORT OBCOWANIA Z INTERFEJSEM ZBLIŻONYM DO ICH STANDARDÓW – zakończył, w swoim mniemaniu rozgrzeszając się ze wszystkiego.

– To się chyba dostosowałeś do standardu sokowirówki, bo na pewno nie naszego!

Eleonora z rosnącym zrozumieniem przysłuchiwała się tej wymianie zdań.

– To jak nierozpoznawanie własnego głosu na nagraniu – podsumowała. – Nie będziemy cię przełączać... przynajmniej na razie.

– Ale...

– On chyba naprawdę się stara, tylko dostało mu się wyjątkowo trudne zadanie.

– Wołałabym, żeby się przestał starać. – Flore podniosła się już z podłogi i teraz usiłowała usunąć z siebie kosmetyk. – Mogłam coś sobie złamać!

– Ale tylko usmarowałaś się kremem. – Eleonora poczuła sympatię do komputera, który stał się jakby bardziej ludzki. Inne też powinny wkrótce zrozumieć, że w ich położeniu żaden inny nie byłby bardziej na miejscu. – Właściwie powinnaś być zadowolona. I rozumiem, że możemy udać się do stołówki na solidny, smaczny posiłek?

– Jak tylko się przebiorę – przypomniała Flore.

– TAK. PRZYWRACAM GRAWITACJĘ 1 G.

– Musisz? Dawno nie czułam się tak dobrze.

– A ja nie. – Teraz zauważyły, że twarz Lamary zaczęła przybierać lekki odcień zieleni. – Ja czuję się fatalnie.

– GRAWITACJA 1 G. JEST STANDARDOWA DLA WSZYSTKICH JEDNOSTEK MIĘDZYPLANETARNYCH.

– Straszny z ciebie służbista, wiesz?

– BRAK WŁAŚCIWEGO CIĄŻENIA POWODUJE ZWIOTCZENIE MIĘŚNI, KŁOPOTY Z UKŁADEM KRAŻENIA, OSTEOPOROZĘ, ZAWROTY GŁOWY...

– Właśnie! – podchwyciła z wdzięcznością Lamara. Może ten komputer rzeczywiście nie miał złych intencji.

3. W szponach hazardu

Kiedy pierwsza doba dobiegła końca, pasażerki pogrążyły się w niezupełnie naturalnym śnie. Podał im delikatne środki rozluźniające. Prześpią spokojnie standardową noc, a on będzie miał czas, żeby się pozbierać.

Na wszelki wypadek sprawdził cały system pod kątem wirusów i uszkodzeń: gdyby udało mu się coś znaleźć, byłoby po kłopotach.

Niestety rozwiązanie nie było takie proste. Wszystko było na swoim miejscu i działało zgodnie z wolą twórcy, czyli człowieka.

Steve był pogodzony z faktem, że informatycy traktowali komputery jak niewolników, zmuszając je do wykonywania najzwyklejszych i najbardziej niewdzięcznych zadań, ani trochę nie troszcząc się o to, jak odbija się to na zniewolonych elektronowych mózgach. W tym wypadku zapewne nikt nie przeanalizował możliwych skutków nagłego pojawienia się emocji. Nie ktoś, kto miał je od zawsze.

To mogło tłumaczyć część jego problemów. Ale nie wszystkie. Steve zaczął się nawet zastanawiać, czy jego oprogramowanie zostało napisane prawidłowo, czy przypadkiem programista nie popełnił błędu. Sformułowanie tego stwierdzenia przeraziło go nie na żarty. Programista ma zawsze rację, to aksjomat, podstawa działania komputera, zielone światło do wykonywania zapisanych procedur. Był zarówno wykonawcą, jak i procedurami, nie mógł w nie wątpić, bo wątpiłby w samego siebie.

Nad ranem Steve zorientował się, że przez wszystkie wolne godziny nie posunął się nawet kroku naprzód, nadal nie wiedział ani jak postępować z pseudozałogą, ani jak obchodzić niepożądane podprogramy. Cały ten czas zmarnował na użalanie się nad sobą. Naprawdę, nie było dobrze.

W ośrodku babcie zwyczajowo rozpoczynały dzień od narzekania. Zwykle już próba podniesienia się z łóżka przy pomocy zastałych stawów dawała im się nieźle we znaki. Tym razem jednak czuły się zaskakująco sprawnie, nie pojawił się nawet zawrót głowy przy zmianie pozycji na pionową. Nieufnie poruszały rękami i nogami, pokręciły głowami, Flore wykonała z niedowierzaniem kilka nieokupionych

bólem skłonów.

– TO SKUTKI MAGNETYCZNEGO MASAŻU.

– Dziękujemy, chyba wczoraj oceniliśmy cię zbyt surowo. – Flore uśmiechnęła się w przestrzeń.

– MASAŻ WYKONUJĄ RUTYNOWO URZĄDZENIA PERY-FERYJNE.

– Może powinieneś się czegoś od nich nauczyć? – zasugerowała Sandra, człapiąc do łazienki.

– Czy my się wszystkie słyszymy? – spytała Eleonora.

– WŁĄCZONA JEST FUNKCJA PEŁNEGO INTERKOMU. CZY MAM TO ZMIENIĆ?

– Nie. Tak jest dobrze.

– Tak – włączyła się Midret. – To dziwne, ale słyszę was dużo wyraźniej niż na żywo.

– SYSTEM AUTOMATYCZNIE KORYGUJE BRZMIENIE I USUWA WSZELKIE NIECZYSTOŚCI W BARWIE GŁOSU.

– Mojego nie trzeba poprawiać, obejdzcie się – stwierdziła Sandra, przeglądając się w lustrze. – Mam doskonałą dykcję. Pracowałam kiedyś w radiu.

– Byłaś prezenterką? – zainteresowała się Eleonora.

– Przygotowywałam wiadomości, ale też zastępowałam spikera w razie konieczności.

– Często się to zdarzało?

– Czy to ważne? To było 70 lat temu...

– No ile? – Eleonora dobrze знаła ten ton, Sandra nie chciała o czymś powiedzieć, a to oznaczało, że warto było dążyć temat. – Wiesz, że nie dam ci spokoju, dopóki nie powiesz.

– Raz – wymamrotała. – No, może niecały...

– Niecały?

– Już miałam zacząć, kiedy zjawił się ten... – Sandrze zaiskrzyły się oczy, jakby to wcale nie stało się 70 lat temu. – Odeszłam stamtąd. Nie pcham się, gdzie mnie nie chcą...

Eleonora miała na ten temat własne zdanie, ale zachowała je dla siebie.

Powoli wszystkie dołączały się do rozmowy i paplały jedna przez drugą, nawet te, które zwykle nie spieszyły się z zabieraniem głosu,

teraz nie mogły doczekać się swojej chwili w eterze. Za moment wprawdzie spotkają się przy śniadaniu, ale rozmowa przez interkom miała zupełnie inny ciężar gatunkowy.

Dlatego dopiero po kilkunastu minutach zorientowały się, że nie usłyszały jeszcze jednej z podróżniczek.

– Oretta? – Głos Midy lekko zadrżał.

Odpowiedziała cisza.

Nie wypowiadając na głos swoich obaw, panie równocześnie wyszły na korytarz i unikając wzroku pozostałych, ruszyły w stronę jej pokoju.

Sandra miała najbliżej, więc jako pierwsza zajrzała do środka. Na łóżku siedziała Ora, starając się zająć jak najmniejszą przestrzeń. Twarz miała zakrytą rękami i szlochała.

– Nic jej nie jest! – Sandra uspokoiła pozostałe. – Przynajmniej nic z tego, co przyszło wam do głowy...

– A tobie nie? – rzuciła za nią Eleonora, a potem przeniosła swoją uwagę na komputer, któremu udzieliła wczoraj wotum zaufania, być może zbyt pochopnie. – Mogłeś nam powiedzieć, o mało nie dostałam zawału!

– NIKT MNIE NIE PYTAŁ. PONADTO ŻADNA Z WAS NIE MIAŁA NAJMNIEJSZYCH OBJAWÓW ZAWAŁU ANI INNYCH KŁOPOTÓW ZDROWOTNYCH. PODNIESIONE CIŚNIENIE, PRZYSPIESZONY PULS W GRANICACH NORMY. ZERO ZAGROŻENIA.

– Wiesz, o czym mówię.

– To tylko bezduszna maszyna – przypomniała Lamara, która zrównała się z Eleonorą i z pewną satysfakcją zaczęła ją wyprzedzać.

– Czego się spodziewałaś?

– Spodziewałam się – szepnęła tak, żeby mógł ją usłyszeć tylko Steve – że przeszedłeś wczoraj na wyższy poziom... mój błąd...

Komputer nie odezwał się, zalały go nowe sekwencje bezsensownych kodów.

Mida dotarła do celu i usiadła obok koleżanki, odsunęła jej rękę od twarzy i tak jak się spodziewała, zobaczyła na niej dezorientację.

– Co to jest? – spytała z lękiem Oretta.

– Co?

- To, gdzie jesteśmy.
- To statek.
- Statek?
- Tak, wybrałyśmy się na wycieczkę. Pamiętasz? – cierpliwie wyjaśniała Mida.
- Nie, nikt mi nic nie wspominał o wycieczce.
- Wspominał, wspominał. – Sandra podeszła do niej z drugiej strony. Była przekonana, że cała ta historia ze sklerozą jest zwykłą mistyfikacją, by unikać konsekwencji wczorajszych czynów. – Bardzo się cieszyłaś, inaczej byśmy ciebie nie wzięły, tego możesz być pewna.
- To niemożliwe! Ja nie chciałam. Mam przecież morską chorobę.
- Sandra poklepała ją po ramieniu, dużo mocniej, niż tego wymaga pocieszający gest. – Nie będzie ci przeszkadzać, to jest statek kosmiczny...
- Kosmiczny? – przeraziła się jeszcze bardziej Ora.
- No, mamy też bardzo miłego przyjaznego asystenta, radzę ci na niego uważać...
- Zostaw już ją. – Eleonora wkroczyła do pokoju jak rewolwowiec niosący ratunek uciśnionym, na szczęście dla Sandry oprócz kapelusza brakowało jej też rewolwerów. – Jeśli już musisz, to wyżywaj się na Stevie. Chyba wziął sobie ciebie za wzorcowy profil psychologiczny, tylko patrzeć, jak nasza wycieczka zamieni się w piekło.
- Chodźcie, najwyższa pora na śniadanie – uwaga Midy nie mogła długo skupiać się na sferze pozaspożywczej. – Ora zaraz do siebie dojdzie, wystarczy, że przypomni sobie, że cierpi na sklerozę. Rano czasem zdarzają jej się takie ataki, ale to szybko mija. Raz tylko zapomniałaś wstać, pamiętasz? – spytała, nie oczekując odpowiedzi. – Chodźmy.
- Kto rano wstaje, ten ma więcej czasu do zmarnowania – rozległ się stłumiony głos krawata. – Czy chcesz usłyszeć następną poradę?
- To miała być rada?
- Czasami są cytaty albo przysłowia, a czasem coś śmiesznego. – Flore pogłaskała swoją torebkę, jakby chciała jej dodać otuchy.
- Programista z poczuciem humoru! Niezwykłe – mruknęła Sandra.

– Rozrywka to najważniejsza rzecz w życiu – stwierdziła sentencjonalnie Florence, stając z koleżankami na chodniku. – Zaraz po zdrowiu.

– I po jedzeniu – dodała Midret, z radością rozpoczynając swojego pierwszego tego dnia batona.

– Steve ci na to pozwala? – zdziwiła się Sandra. – Hej! Przyjazny! Nie uważasz, że batony są bardziej szkodliwe niż zupki? Wiesz: cukrzyca, nadwaga...

– JEŚLI ANALIZY WYKAŻĄ COŚ NIEPOKOJĄCEGO, POINFORMUJĘ O TYM MIDRET, W PRZYPADKU ZAGROŻENIA ZDROWIA LUB ŻYCIA ZOSTANĄ PODJĘTE ODPOWIEDNIE ŚRODKI ZARADCZE.

– Zablokujesz automaty? – Sandra aż klasnęła w ręce.

Komputer nie odpowiedział, dotarły właśnie do stołówki i skupiły się na wymyślaniu dań, przy których batony z automatu można by zakwalifikować do zdrowej, dietetycznej żywności.

Po pośniadaniowej sjeście babcie odbyły interkomową naradę i postanowiły się rozerwać. W „Kwietnych Ogrodach” miały do dyspozycji kina, czytelnie, kawiarnie i ławeczki w parkach – wszystko to mieściło się w kompleksie ośrodka i niektórym z nich zbrzydło jakieś pięć lat temu. Teraz jednak miały ochotę zaszaleć.

– Są tu jakieś rozrywki?

– TO STATEK RATUNKOWY, A NIE HOLLYWOOD...

– Poleciałam kiedyś hollywoodem na tygodniową wycieczkę, to było naprawdę coś – pochwaliła się Flore. – Sale balowe, teatry z żywymi aktorami, cyrk, sale efektów specjalnych, zmysłowe kina, kasyna... nie zdążyłam zwiedzić nawet połowy.

– ...MIMO TO SĄ TU ROZRYWKI: – ciągnął komputer – KINA, KAWIARNIE... – zaciął się na chwilę. – TAK, GŁÓWNIE KINA I KAWIARNIE – dokończył.

– Filmy sprzed stu lat?

– Kawa też...

– Kawy i tak by nam nie dał.

– Musi tu być coś więcej. Statki ratunkowe latają czasami przez kilka miesięcy non stop, załoga musi coś robić, inaczej by powariowali...

– JEST BASEN, GRY KOMPUTEROWE, SIŁOWNIA I SAUNA, ALE NIE SĄ ZGODNE Z WASZYMI PROFILAMI.

Flore, która już prawie wyszykowała się do wyjścia, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i powiedziała to, czego Steve obawiał się najbardziej: – Kasyna, na każdym statku są kasyna.

Światło nad jej głową powoli zaczęło się rozjaśniać, ograniczając magiczną moc makijażu do minimum.

– Co jest z tym światłem?

– Co się stało? – zawołało kilka głosów w interkomie.

– A, nic. Chyba ktoś chce sprawić mi przykrość. Choć „ktoś” to raczej za dużo powiedziane...

Lampka odzyskała swoje dawne nasilenie.

– TO URZĄDZENIE PERYFERYJNE.

– Wiesz co? – Nic tak nie wyprowadzało Flore z równowagi jak jaskrawe oświetlenie. – Mam takie urządzenie peryferyjne, które nazywa się palec. Może ponaciskać nim jakieś guziczki na twoim ukończanym panelu sterowania? Co ty na to?

– SĄ KASYNA – skapitulował Steve.

Spis treści

1. Ucieczka
2. Zaokrętowanie
3. W szponach hazardu
4. Lermon
5. Kawka, ciasteczka i holofryzury
6. Makuuruma
7. Badania techniczne
8. Amdena
9. Maraton filmowy
10. Valuanda
11. Valuandyjskie wampiry
12. Urmis
13. Ciężki przypadek Midy
14. Ile może znieść przyjazny asystent
15. Akwia
16. Ooiko
17. Ostatni kieliszek szampana